

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

19

(Ciąg dalszy).

— O czym rozmawiacie? — zapytała.

— Gdybym cię prosił, droga Ewelino, o jedno poświęcenie, uczyniłabyś je dla mnie?

— Do wszelkich poświęceń dla pana gotowa jestem, master Brentano!

— Nie chciałaś ani zamieszkiwać, ani wynajmować obcym tego domku, pełnego wspomnień, zwłaszcza że rozegrał się tu bolesny dramat... dałaś w ten sposób dowód pietyzmu dziecięcego... Mogę ci tylko winnować tego!... Lecz ja nie jestem zupełnie obcym dla ciebie, Ewelino!... Chciałbym...

— Pan chciałby?... — wyszeptał Marcadian. — Naprawdę pan chciałby zajmować to nieodpowiednie i niegodne pana mieszkanie przez trzy miesiące pobytu swego w Paryżu?... To chyba żarty tylko, master Brentano!... Pan jest takim samym oryginałem, jakim był Joe ze swym pałacem w Neuilly!... Czy siostrzenica moja nie oddaje panu do dyspozycji swego wygodnego pałacu przy avenue Bois?...

Ewelina patrzyła na mnie ciągle przenikliwie, lecz bez najmniejszego drżenia wytrzymałem jej wzrok...

Czekała, aż Marcadian skończy swe bezcelowe gadanie i odpowiedziała... zanim ja zdołałem sformułować życzenie, odgadnięte tym razem trafnie przez Marcadiana:

— Dobrze, master Brentano!... Pańskie życzenia są rozkazami!... Pan jest tu panem!

XXV.

Miałem dwie drogi do wyboru i nie mogłem się zdecydować ani na jedną, ani na drugą...

Doszedłem do kulminacyjnego punktu swych awanturnych przygód i nie wiedziałem teraz, jakie im nadać logiczne rozwiązanie... Byłem jedynym panem położenia... Przed sobą nie miałem już żadnych przeszkód! Nie kępowały mnie żadne więzy!... William Duncan zmarł w dwa tygodnie po moim przyjeździe do Francji, jak to ściśle przepowiedział jego następca w zarządzie domu zdrowia!... Przeszedł ze świata tego w wielką krainę ciszy i zapomnienia, by spotkać tam swą kochankę Lucyę Weill i ojca swego, Joego Duncana!...

I teraz, gdym znalazł się koło Eweliny i jej ukochanych dwojga dzieci, byłem jedynym, niezaprzeczonym posiadaczem tajemnicy mego życia... Ode mnie tylko zależało otworzyć usta i zwierzyć się z sekretu, który ciążył na mem życiu, albo też zawrzeć na zawsze wargi, by pokryć wiecznem milczeniem swe straszne przygody!... Mogłem powiedzieć do wdowy Williama: „Jestem twym ojcem, rzeźbiarzem Barrabasem i powracam do twego ogniska, drogie dziecko, z sercem obciążonem tyloma wspomnieniami i wzywam twej dobroci, byś osłodziła mi ostatnie dni mego burzliwego żywota!“ I jestem pewny, że Ewelina, której niepokój jest widoczny i która jest jedyną na świecie osobą, domyślającą się mej istotnej osoby, przyjęłaby z radością me słowa!

Mogłem również odjechać do Ameryki i prowadzić tam bez żadnych obaw normalne życie Jonatana Brentano, nowego króla papierowego!

Gdybym słuchał tylko głosu swego serca i kierował się tylko pobudkami miłości, które domek w Bry-sur-Marne czynił mi miłym i miłym do wszystkich pałaców w całym świecie, a sąsiedztwo mej córki i ukochanych wnucząt droższem od wszystkich skarbów na całej kuli ziemskiej, skłoniłbym się bezwzględnie do pierwszego rozwiązania tych trudności! Głos jednak rozsądku zapanował we mnie nad uczuciowością!

Jakiem prawem mam stawiać między Ewelina a życiem? Dla jakiego, czysto egoistycznego zadowolenia mam zjawiać się w życiu bliskich mi osób, jako żyjący obraz i przypomnienie minionych cierpień i wyrzutów? Gdybym raz zrzucił tę maskę, pod którą żyłem do tej pory, umarł dla świata, rozjątrzyłbym tylko ciągle zabliźnione już rany! Koniecznem zaś było, jeżeli nie dla Eweliny, to przynajmniej dla przyszłości tych dwojga małych dzieci, nieodpowiedzialnych za zbrodnie i namiętności innych, aby dokoła tych tragicznych wydarzeń zaległo głuche milczenie! Powrót zaś mój do właściwego imienia byłby dla nich żywym wskrzeszeniem zapomnianej przeszłości!...

I z pragnień swych usuwałem pierwsze rozwiązanie, a skłaniałem się rozsądkiem do drugiego, które

po tylu poświęceniach z mej strony miało być jeszcze jednym, lecz ostatniem poświęceniem dla przyszłego szczęścia mych dwojga wnucząt! Odjadę Brentanem, jak nim przyjechałem. Opuścić już na zawsze tym razem, mały domek, ocieniony krzewami, w którym przez kaprys dziwaka, jak to uważał Marcadian, żyłem od dwóch miesięcy w spokoju i szczęściu... Aż do ostatniego swego tchnienia będę chował w sobie tę straszną tajemnicę i bez łzy w oku bez zmruczenia powiek przed badawczym spojrzeniem Eweliny, pożegnana na wieki tę pracownię, w której jedyną po mnie pamiątką pozostanie postać mej drogiej żony Gabryeli, zakutej w posąg Bolesci.

Było to przykazanie rozsądku i wypełniłbym je ze stoicyzmem, gdyby logika rzeczy, wyższa zawsze od logiki ludzi, nie nadała nagle mym niezwykłym przygodom nowego zakończenia, które nie tylko, że nie zależało odemnie, lecz do którego ja musiałem zastosować resztę swego życia!

...Prawie codziennie jeździłem do Paryża i żyłem w zażyłości z Ewelina, w jakiej tylko mógł żyć Jonatan Brentano... Dla dzieci byłem nie tylko dziadkiem, lecz i wielkim ich przyjacielem... Zeszecona moja twarz nie przerażała już ich tak, jak z początku. Wdrapywały mi się na kolana, wieszały na szyi..., a rozczulony Marcadian powtarzał:

— Pan teraz, panie Brentano, ma minę prawdziwego dziadka!

Śmierć Williama w zakładzie w Saint Mandé zbliżyła nas jeszcze bardziej ku sobie, związała nas jeszcze silniejszymi węzłami. Ewelina, chociaż przygotowana już na ten cios, odczuła go jednak tak boleśnie, iż przez pewien czas życie jej było w niebezpieczeństwie. Doktor, który rozmawiał ze mną bez żadnych ogródek, sądząc, że mówi do człowieka zupełnie obcego, oznajmił mi pewnego dnia:

— Tych dwoje dzieci zostanie wkrótce sierotami, master Brentano!... My, lekarze, widzimy zupełnie jasno, iż wstrząśnienia moralne, jakie ta młoda kobieta zniosła w swym krótkim życiu, zrujnowały zupełnie jej organizm. Wyniszcza go w dodatku cierpienie wewnętrzne, gorsze od wszelkich chorób i wobec którego wiedza nasza jest bezsilna!... Zauważyć się w niej daje rozstrój moralny, którego następstwa są o tyle niebezpieczne, iż nauka nie wynalazła jeszcze na niego żadnego skutecznego środka!... Jest ona — niech pan zwróci uwagę na porównanie, gdyż tłumaczy ono dokładnie mą myśl — jak lira z naciągniętymi do ostateczności strunami, które dziś lub jutro pękną wszystkie razem od jednego silniejszego szarpnięcia!

Słuchałem zwierzeń doktora, nie okazując żadnego wzruszenia... Nigdy nie przejmowałem się zbyt poważnie uczynionymi... a teraz wprost gwałt sobie czyniłem, by do słów lekarza nie przykładając tego znaczenia, jakie on im chciał nadać. ...Marcadian przyjeżdżał często odwiedzać mnie w Bry... Mawiał też nieraz:

— Jaką bajeczną przyszłość ma tych dwoje cherubinków, dzieci mej siostrzenicy!... Naprawdę, master Brentano, iż chwilami zdaje mi się, iż nie jestem przy swych zmysłach, iż to wszystko jest tylko snem, złudzeniem!... Bywają chwile, iż chwytam się obiema rękami za głowę i staram się rozumować zimno, o ile tylko człowiek zdolny jest do tego!... Miewam nieraz chwile, gdy, patrząc na ten mały domek, dochodzę do tego, iż bez żadnej litości rozmyślam o losie swej siostry Gabryeli, zabitej przez swego syna Polidora... a tembardziej o losie Polidora, który nie zasługiwał na nic lepszego!... Przyznam się nawet panu zupełnie szczerze, iż często litość swą odczuwam jedynie dla swego szwagra, Barrabasa!... Och! gdyby go pan znał, master Brentano!... Nazywano go tutaj królem wariatów!...

I po chwili zadumy dodał melancholijnie:

— Słuszniejby go nazywano królem mądrych... jego natychmiastowe zniknięcie po dramacie i ten dziwny sposób, w jaki przyjął na siebie całą odpowiedzialność, by ocalić swego syna, dowodzi tylko, iż był on może nieświadomym sprawcą, lecz w każdym razie sprawcą wszystkich wypadków, jakie się w następstwie tego zdarzyły!... Biedny, nieszczęśliwy człowiek!... Gdyby on mógł wiedzieć, do jakich rezultatów doprowadził ten niezwykły jego pomysł!... Nie, nigdy nie mogę wspomnieć o nim, bez uczucia głębokiej wdzięczności, a zarazem litości nad jego nieznanym losem!

I Marcadian, wzruszony, ucierał ukradkiem płynące mu po policzkach łzy...

...W swem chwilowem ustroniu, odbierałem również wizyty swego sąsiada, „Mrugacza“, emerytowanego oficera, który po dawnemu pozostał plotkarzem i wszystkowiedzącym!...

— Ho! ho! panie Amerykanin — zaczynał odrazu Mrugacz — ta historia z Barrabasem jest to piekielna historia!... Niech pan tylko nie daje się

brać na kawały tego adwokata Marcadiana, z którego jest chytra i podstępna sztuka!... Znałem rzeźbiarza tak, jak pana znam... Siedział w nim kawałek urwanego dyabła, ale był to dobry człowiek!... Jest w tem wszystkim szatańska machinacja, w której i najsprytniejszy agent nie domaga się początku! Co do mnie, to ja nigdy nie wierzyłem ani w samobójstwo Polidora, ani jego ojca!... Tak można zwodzić tylko naiwnych! I nie zdziwię się wcale, gdy pewnego pięknego poranku, kiedy nastąpi już przedawnienie, zjawią się obydwaj, by podzielić się majątkiem!

— Co też pan plecie, panie Mrugaczu! Dowiedziałem się, że zaszedł wypadek...

— Wypadek! Nie przypuszczam, że jest pan tak naiwny, aby wierzyć w takie brednie!... My tu wiemy, co o tem myśleć!... Barrabas, rzeźbiarz, łapał ryby podczas... wypadku! To widziałem na własne oczy!... Co zaś do syna, to był to jeden z najlepszych, najspokojniejszych chłopców!... Ja panu powtarzam, że tu jest tajemnica...

— To z pewnością...

— Tajemnica, do której klucz posiada tylko ta stara kuna, Marcadian...

— Dlaczego Marcadian?

— Ponieważ Marcadian...

I stary, emerytowany oficer rzucił naprzód badawcze dokoła spojrzenie, by przekonać się, czy nikt nie podsłuchuje, a potem nachylił się do mego ucha i szeptał po cichu:

— Ponieważ według mnie, jedynie Marcadiana można podejrzewać o to zabójstwo!

Przypuszczenie, że Marcadian jest zabójcą, było tak bezgranicznie naiwne, iż z trudem tylko powstrzymałem się od wybuchu śmiechu... Spojrzałem na swego towarzysza i ujrzałem śmiesznego człowieczka, który pod wysoko podniesionymi brwiami obracał w koło swemi dużemi, głupimi oczami... Potem przymrużył je chytrze i kładąc palec na ustach, dodał z tajemniczą miną:

— Wiem ja o tem więcej, niż na razie mogę powiedzieć!

...Dziwactwa starego emeryta nie zawsze były tak rozweselające. Lubił on jednak płatać figle! Mimo swych siwawych, wielkich wąsów i donośnego głosu starego brzydadera, miał dziecięcą duszę, pełną prostoty i naiwności...

Pewnego ranka, gdy byłem w pracowni, zjawił się Mrugacz... Nie pukając, otworzył drzwi i zawołał swym tubalnym głosem:

— Dzień dobry, panie Amerykaninie!

Obróciłem się zaraz, niezadowolony z tej wizyty... i ujrzałem naraz śmieszną postać swego sąsiada, który na twarz włożył sobie tekturową maskę, ozdobioną wielką, rozwichrzoną brodą!... Tak byłem zdziwiony tym żartem, iż na razie nie wiedziałem, co mu powiedzieć...

— I cóż to — rzekł, zdejmując swą maskę i śmiejąc się głośno — nie wie pan, że to dzisiaj tłusty czwartek? ...Czy u was w Ameryce nie umieją się śmiać?

Położył swój karnawałowy strój na stole i uściśnął silnie mą rękę...

— Jakie pan z siebie straszdyło zrobił!... Czy pan, panie Mrugaczu, chce być zawsze młodym? — żartowałem.

Zapaliliśmy fajki i w dobrym humorze rozmawialiśmy do jedenastej godziny.

Dnia tego oczekiwałem ze śniadaniem na Marcadiana i Ewelinę z dziećmi... Minęła już dobra godzina, jak Mrugacz bawił mnie swemi wesołymi opowiadaniem z życia koszarowego, gdy przyjazd mych gości uwolnił mnie wreszcie od niego... Wyszedł też zaraz, zapomniał jednak zabrać z sobą swej maski.

Było to dla mnie zawsze wielką radością, gdy mogłem przy stole swym mieć szwagra i córkę z dziećmi, którzy we mnie widzieli ciągle tylko oryginalnego jankesa, gdy tymczasem oni dla mnie, przedstawiali obraz rodziny, wśród której chciałem spędzić resztę swych dni. Ewelina dnia tego była bardziej zdenerwowaną i niespokojną, niż zwykle... dzieci zaś weselsze i hałaśliwsze, niż gdym widział je ostatnim razem. Marcadian tylko, był w swem zwykłym, jednostajnym usposobieniu... Jedliśmy wszyscy z wielkim apetytem... Zebranie to było dla mnie nadzwyczaj miłym i rozrzucającym... Piotr i Zuzanna przepadali teraz za mną... Brałem udział we wszystkich ich zabawach, spełniałem wszystkie ich zachcianki i kaprysy...

— Pan je psuje, master Brentano! — wymawiała mi czule Ewelina.

— Będą tęsknili za panem, gdy pan wyjedzie do Nowego Jorku! — dodał Marcadian.

Nieprzyjemną mi była ta aluzja do mego odjazdu, który naznaczyłem na przyszły tydzień! By-